

W chwili porodu wyglądamy jak niezapisana książka. Od naszych najbliższych zależy treść pierwszych stron. U niektórych z nas kartki pokrywają się równiutkim, kaligrafowanym pismem, pełnym życzliwych rad, przepojonych miłością, zapachem szczęścia i mocą dającą siłę na przebrnięcie przez meandry życia. U innych stronie zabazgrane są nieczytelnymi słowami, z kleksami i mnóstwem skreśleń, bez żadnej istotnej wskazówki na przyszłość. Czasami treść od pierwszego zdania jest tak przerażająca i ciemna, że w późniejszych latach każdy krok wykonujemy z wahaniem, nikt nie zasługuje na miano naszego przyjaciela, a kolejne dni witamy ze strachem, ciesząc się z ich końca i snu dającego uludę zapomnienia.

Dzisiejsze czasy obfitują w bohaterskich rodziców samotnie borykających się z wychowaniem dzieci. Bohaterami są matki-rozwódki potrafiące macierzyństwo pogodzić z tempem współczesnego życia, z pracą zawodową i troską o swój wygląd, zgodny z najnowszą modą. Bohaterami są ojcowie odkrywający powołanie w gotowaniu zupek z puszki, rozpoznawaniu najlepszych gatunków pieluszek oraz poświęcaniu kariery zawodowej na rzecz własnego syna czy córki. W tym wszystkim nie zauważa się najmniejszych bohaterów – dzieci, wielokrotnie przerażonych zaistniałą sytuacją, często przekonanych, że do rozstania rodziców doszło z ich winy. A sławni ludzie, których życie jest ze szczegółami analizowane w poczytnych czasopiśmie, w opowieściach o swoich rozstaniach niejednokrotnie poddają w wątpliwość fakt negatywnego wpływu nowych okoliczności na ich pociechy. W naszej świadomości pokutuje przekonanie, że dzieci niewiele kojarzą i rozumieją. Tak naprawdę jednak młody człowiek posiada

instynkt, podobny do zwierzęcego, dzięki któremu wielokrotnie dużo celniej niż dorośli potrafi odczytać subtelne sygnały, boleśnie przeżywając wszystko całą swoją małą istotą. Później okowy dobrego wychowania i wymogi cywilizacyjne upychają jego zdolności głęboko w podświadomość i produkują następnego sztamowego koszmarka na wzór i podobieństwo. . .

Litujemy się nad losem porzuconych kobiet i mężczyzn, gdyż potrafią głośno mówić o swoim nieszczęściu. Natomiast nikogo nie interesuje los dzieci rozwodników. Dlaczego? Nie potrafią krzyknąć? Skarżyć się? Potrafią, tylko. . . Nikogo ich płacz, tak naprawdę, nie obchodzi i nikt go nie słucha. A kiedy dorastają, o swoich przeżyciach starają się nie pamiętać; tym bardziej, że proces przechodzenia z dzieciństwa w dorosłość zaciera pamięć zdarzeń i wykoślawia proporcje.

Moim najwcześniejszym wspomnieniem z dzieciństwa, pojawiającym mi się przed oczyma, jest przerażający dziad, zawinięty w wystrzępiony koc. Zafascynowana wpatrywałam się w dziwną postać, która grzmiała głosem mojej babci, spod koca wystawały babcine pantofle, a niania podstępnie, łyżeczka za łyżeczką, wpychała mi do buzi kaszkę mannę, którą przez roztargnienie połykałam, nie protestując. Od urodzenia byłam niejadkiem. Cała rodzina stawiała na głowie i wymyślała różnorodne fortele, że bym coś zjadła. Opowiadano mi bajki, inscenizowano dziwaczne przedstawienia. Całe dzieciństwo prześladowało mnie hasło: „Olu, zjedz jeszcze trochę”. Być może gdybym została odrobinę przegłodzona, zaczęłabym jeść z apetytem, ale tak proste rozwiązanie nie przychodziło nikomu do głowy. Czasami faszzerowano mnie taką ilością „smakołyków”, że w ramach protestu wymiotowałam w różnych niewygodnych dla moich najbliższych sytuacjach.

Moja mama była jedynaczką. Dziadek prowadził dochodowy biznes. Wojna na krótko zahamowała jego rozwój – stracił cały swój majątek, ale ciężkie dla prywatnej inicjatywy powojenne czasy nie przeszkodziły mu szybko stanąć na nogach. Babcia wychowywała swoją jedynaczkę jak księżniczkę, mając do pomocy zastępy służących. Nikt nie pamiętał imienia mojej mamy, wszy-

szy mówili o niej – Lalunia. Chodziła zawsze elegancko ubrana, uśmiechnięta, kwitnąca – nigdy nie widziałam jej rozczochranej, nie pokazywała się ludziom bez makijażu. Celem jej istnienia była dbałość o ładny wygląd. Dziadkowie żyli i pracowali tylko po to, aby zapewnić swojej córce spokojny byt, odsunąć od niej zmartwienia, a po śmierci zostawić jej majątek, zapewniający życie na odpowiednim poziomie. Nie chcieli mieć więcej dzieci, bo między rodzeństwem często dochodzi do konfliktów, a tego chcieli oszczędzić swojej Laluni. Ja również byłam jedynaczką, a parasol ochronny dziadków osłaniał i mnie.

Urodziłam się w wojskowym szpitalu na Śląsku. Mama wspominała, że położna przynosiła mnie do karmienia zawsze pachnącą perfumami „Być Może”. Moje pojawienie się na świecie było największym świętem dla całej rodziny.

Na Śląsku, gdzie mieszkali dziadkowie, przebywaliśmy krótko. Miesiąc po moich narodzinach przenieśliśmy się na wybrzeże. Mama miała tam dom, który w ramach wiana podarował jej dziadek. Razem z nami zawędrowała nad morze moja niania, Ślązaczka, która mamę doprowadzała do szału swoją gwarą i śląskim akcentem.

Dom budowano bez nadzoru dziadka, bo ten nie mógł zostawić biznesu samopas. Zastępował go mój wujek, Czesiu, który osiadł na wybrzeżu wraz z bratem i staruszką matką, rzucony tam z Wileńszczyzny przez zawieruchę wojenną. Zawsze miałam wrażenie, patrząc na naszą willę, że majster rozzuchwalony brakiem odpowiedniej opieki, z zakupionych przez dziadka materiałów wybudował jeszcze kilka domów dla swojej rodziny i znajomych. Latem było tam duszno i gorąco, zimą natomiast zmuszana byłam do noszenia dwóch par „gryzących pończoch” i dygotałam z zimna. Firanki wesoło płąsały w rytm powiewów wiatru przeciskającego się przez nieszczelne okna, a kaloryfery grzały w kratkę.

Niedomogi domu równoważył otaczający go najpiękniejszy na świecie ogród, pełen starych drzew, dający małemu dziecku nieograniczone możliwości do zabawy. Potężna grusza wierzchołkiem sięgała powyżej szczytu dachu. Jesienią tata wchodził na nią z prześcieradłem przewiązanym w poprzek tułowia i wspinając się z gałęzi na gałąź, zrywał kilogramy gruszek. Później

niania zaprawiała je w occie i przez całą zimę mieliśmy zachowane w słoikach żółciutkie wspomnienia lata. Był tam też orzech włoski, w upalne dni roztaczający wkoło niezwykle zapach. Jego owoce miały smak niczym nie przypominający smaku tych zakupionych w sklepach, a zielone skórki, z których się je obłupywało, fantastycznie barwiły ręce na brązowo, skutecznie i na wiele dni. W koronie orzecha laskowego mieszkała rodzina wiewiórek. Lubiałam obserwować ich harce wśród liści. Nie przeszkadzało mi nawet to, że stanowiły dla mnie konkurencję w zbieraniu orzechów. Byłam mistrzynią w wynajdowaniu żółtobrazowych kulek wśród opadłych liści i poskręcanych korzeni. Rude kitki królowały u góry, ja natomiast – na dole.

Pod wieczór, przy odrobinie szczęścia i wytrwałości, można było spotkać w trawie jeża. Moja obecność nie niepokoiła go i nie zwijał się w kłębek. Fukał tylko ostrzegawczo i gniewnie tupiąc, odchodził w bardziej spokojne miejsce.

Tata pochodził z rolniczej rodziny. Potrafił wyhodować wszystko i wszędzie. Na grządkach rosły kwiaty o tęczy kolorach, dwukrotnie wyższe ode mnie. Warzywny ogródek kuśił czerwienią pomidorów, głęboką zielenią ogórków i groszku, a wszystko pachniało żyzną, wilgotną ziemią i nęciło obietnicą niepowtarzalnej uczty. Przed frontem domu królowały ukochane róże mojej mamy, oszałamiające odwiedzających nas gości feerią barw i woni.

Ogrody sąsiadów czasami zaskakiwały swoją zawartością. Na końcu ulicy mieszkała stara, mówiąca dziwnym językiem Kaszubka. W swoim ogrodzie hodowała kury. Co tydzień chodziłyśmy do niej z nianią po jajka, których pakowanie w papierową torebkę czasami trwało i godzinę, bo panie musiały się nagadać. Siedziałam wówczas cicho na twardym kuchennym krześle i z fascynacją słuchałam tej jedynej w swoim rodzaju mieszaniny gwary śląskiej i kaszubskiej. Rozumiałam zaledwie co któreś słowo, ale rozmówczynie sprawiały wrażenie, że doskonale się dogadują i sprawia im to wielką przyjemność.

Kilka domów dalej sąsiad hodował krowę. On, dla odmiany, był gburowaty i trochę się go bałam. Niania sama codziennie o świcie szła do niego po pyszne mleko.

Raz w miesiącu wędrowaliśmy obie na sąsiednią ulicę do ręcznego magła. Tam dopiero panował gwar. Kilka kobiet, pomagających sobie nawzajem przy maglowaniu, omawiało najnowsze plotki, czasami tak niezwykle, że z wypiekami na twarzy chciałam dzielić się uzyskaną wiedzą z mamą, ale ona nie lubiła słuchać moich rewelacji.

W czasie drugiej wojny światowej na terenie, gdzie znajdowało się nasze osiedle willowe, toczyły się zacięte walki. Tynk budynku w sąsiedztwie upstrzony był śladami po różnego kalibru pociskach, a i nasz ogród z niechęcią odkrywał tajemnice historii. Pewnego dnia tatuś, przygotowując grunt pod nową grządkę, dokopał się do drewnianej skrzyni. Dopiero gdy łopata kilkakrotnie zgrzytnęła metalicznie, resztę ziemi odgarnął rękoma i z przerażeniem stwierdził, że ma przed sobą kilkadziesiąt granatów, wyglądających na całkiem sprawne. Całą rodzinę ewakuowano na dwa dni. Saperzy skutecznie zneutralizowali niebezpieczne znalezisko, ocalając dom, a w nas został niepokój, jakie skarby jeszcze może kryć nasz ogród.

Jak przystało na córkę Laluni, miałam też być laleczką. W mojej szafie wisiały sukienki z falbankami, kokardkami, brylancikami i wszelkimi innymi ozdobami właściwymi dla lalczyniej garderoby. Do tego miałam lakierki ze „spsączkami”. Mama tworzyła na mojej głowie misterne fryzury pełne loczków, koczków, spinek i wstążek. Niestety, nie nadawałam się chyba na stanowisko laleczki, bo, chociaż się starałam, szybko niweczyłam efekt osiągnany dzięki ciężkiej pracy mojej mamy, błyskawicznie cała się brudziłam i czochrałam, doprowadzając moją rodzicielkę do rozpacz.

Byłam bardzo żywotnym dzieckiem. Konieczność popołudniowej drzemki stanowiła dla mnie katorgę. Każde popołudnie spędzałam kołysana przez moją nianię na dużej poduszce. Działania takie doprowadzały mnie do granicy wstrząśnienia mózgu, a już na pewno nie pomagały w zasypianiu. Na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć dni, w czasie których udało mi się zasnąć. Mając świeżo w pamięci moje doświadczenia, nigdy nie zmuszałam swoich dzieci do spania w dzień. Efekt był taki, że potrafiły zasnąć w połowie zabawy, na twardej podłodze, obok głośno

grającego radia. Przenosiłam je wówczas do łóžeczek i nikt nie był poszkodowany ani nie tracił nerwów. Dzieciom to chyba nie zaszkodziło. Wyrosły na zdrowych młodych ludzi, idących przebojem przez życie.

Większość dnia spędzałam z nianią. Rodzice rano wyjeżdżali do pracy. Obydwoje w to samo miejsce, na Akademię Medyczną. Niania, poza pilnowaniem mnie, musiała również zajmować się gotowaniem i sprzątaniami. Jej opieka nade mną czasami pozostawiała wiele do życzenia. Któregoś dnia moim łupem padło cepeleńskie pudło z inkrustowanym wieczkiem, po brzegi wypełnione mamina bżuterią. Mama po powrocie z pracy zastała mnie radośnie bawiącą się na podłodze zasłanej pojedynczymi koralikami, tak skutecznie wymieszanyimi, że nigdy nie udało się odtworzyć ich pierwotnej postaci. Jej uczucia mogłam poznać dopiero wówczas, gdy sama doświadczałam uroków macierzyństwa i mój syn, odziedziczywszy po mnie gros zachowań, z radosnym uporem rozczłonkowywał na czynniki pierwsze moje ukochane naszyjniki. Ja reagowałam bardzo gwałtownie, moja mama natomiast podeszła do mojej destrukcyjnej działalności z zadziwiającym spokojem. Pozostała mi do zabawy skrzynka po brzegi wypełniona różnokolorowymi skarbami, których ilość w przeciągu lat zmniejszała się, niszczone przez upływający czas.

Popołudnia i wieczory były nasze, mamy i moje. Pełne chichotów, zabaw i wspaniałych opowieści. Mama miała niezwykle dar bajarki. Najbardziej lubiłam baśń o Szeherazadzie i Gadającym Ptaku oraz o Sindbadzie Żeglarzu i Diable Morskim. Mogłam ich słuchać bez końca. Ukoronowaniem naszych wspólnych chwil były wieczorne kąpiele, stanowiące rytuał, który uwielbiałam. Mama nalewała pełną wannę wody, pieniącej się i lśniacej kolorami tęczy. Wesoły ogienek w piecyku gazowym huczał i połykiwał. Zostawałam na jakiś czas sama z gumowymi zabawkami: dwoma paryskimi gawroszami, żółtą kacuzszką i małą żaglówką. Odwiedzaliśmy dalekie łądy, toczyliśmy uczone dysputy i walczyliśmy z morskimi potworami. Zabawa trwała krótko, ponieważ w zimnej łazience woda szybko stygła. Mama wracała i zaczynała mnie myć. Razem z nią w łazience pojawiał się duszek. Mieszkał w kratce wentylacyjnej i był stworzonkiem bar-

dzo ciekawskim. Sympatycznym, piskliwym głosikiem wypytywał mnie o moje przeżycia z całego dnia i opowiadał o swoich przygodach. Chyba troszeczkę bał się mnie, ponieważ nigdy się nie odzywał, kiedy byłam sama w łazience, chociaż go wołałam i bardzo prosiłam, żeby coś powiedział.

Po kąpielu smarowana byłam oliwką Johnson's Baby i kremem Penaten, produktami, które współcześnie można kupić w każdym sklepie, a wówczas na naszym rynku całkowicie niedostępnymi. Do dzisiaj moja mama powtarza mi z lekkim wyrzutem, że powinnam być zawsze szczęśliwa, bo w dzieciństwie dbała o mnie używając tak niezwykłych kosmetyków.

Później niosła mnie, zawiniętą w puchaty ręcznik, na piętro do mojej sypialni. Za oknem panowała noc, a mama szeptała:

– Ciemno wszędzie, głucho wszędzie. Co to będzie, co to będzie?

A ja rozglądałam się dookoła oczyma wielkimi jak spodeczki i cichutko dodawałam:

– I ktoś woła.

Musiało minąć wiele lat zanim odkryłam, skąd wziął się ten, nieco przeze mnie zmodyfikowany, cytat.

Rodzice razem wyjeżdżali i razem wracali z pracy. Początkowo – volkswagenem „garbusem” a później – dużym fiatem. Czasami wieczorem wychodzili do znajomych. Lubiałam patrzeć na mamę, jej piękne sukienki, migoczące w uszach kolczyki, naszyjniki i bransoletki do kompletu, eleganckie buty na wysokich obcasach i radosny uśmiech. Rodzice stanowili dobraną parę i byłam z nich dumna.

Pewnego zimowego dnia mama wróciła z pracy wcześniej. Wzburzona, bez taty. Zmęczona i obolała. Musiała iść kilka kilometrów na piechotę, ponieważ komunikacja miejska nie kursowała. Zamknęła się w kuchni z nianią i przez drzwi słyszałam jej podniesiony, drżący głos. Docierały do mnie słowa: manifestacja, strzały, czołgi, stoczniovcy, zabici... Przestraszona siedziałam cichutko w swoim pokoju, a mama płakała i zdenerwowana wyglądała przez okno ojca, który wrócił dopiero późnym wieczorem; leżąc w łóżku długo jeszcze słyszałam ich przyciszone, pełne napięcia szept. Przez następne dni tylko tata jeździł do pracy, a ja

miałam mamę do swojej dyspozycji, co niezwykle mi się podobało. Wieczorami odwiedzali nas dziwni ludzie. Nerwowe, ściszone a czasami podniesione głosy oraz stłumiony dźwięk trzeszczących audycji radiowych docierały do mnie, dopóki nie zasnąłam, przerażając mnie, ale jednocześnie fascynując nieodgadnioną tajemnicą. Po pewnym czasie wszystko powróciło do normy i znów zostawałam na całe dni tylko z nianią.

Najpiękniejszą porą roku dla mnie było lato. Rodzice brali kilka tygodni urlopu, dom zamykaliśmy na trzy spusty, wszystkie sprzęty zakrywaliśmy białymi pokrowcami, aby ochronić je przed kurzem, i wyruszyliśmy na południe Polski. Tata, niania i ja zwykle siedzieliśmy w samochodzie gotowi do drogi i czekaliśmy na mamę, która nigdy z niczym nie mogła zdążyć. Cóż, perfekcyjny makijaż i wygląd jak z pudełeczka wymagały czasu. Kiedy mama wsiadała wreszcie do samochodu, piękna i pachnąca najlepszymi perfumami, tata wciągał głęboko powietrze w płuca i nieodmiennie zadawał pytanie:

– Co tu tak śmierdzi?

Nie sądzę, żeby takie odzywki były budujące dla mojej mamy. Chociaż, przynajmniej, jej mania używania perfum była kłopotliwa i dla mnie: owoce obierane przez nią ze skórki były również uperfumowane i przez to niejadalne. Ostro protestowałam, kiedy zmuszano mnie do jedzenia ich, czym rodzicielce niewątpliwie sprawiałam dużą przykrość.

Pierwszym celem był Śląsk. Niania jechała do swojej rodziny, a my do rodziców mojej mamy.

Dziadkowie z utęsknieniem czekali na swoje księżniczki. Ich mieszkanie usytuowane było w przedwojennej kamienicy, nad zakładem dziadka. Miało olbrzymie pokoje, prawie dwukrotnie wyższe od naszych, z białymi ścianami ozdobionymi u szczytu wymyślnymi stiukami. W każdym pomieszczeniu królował piec. Pierwszy, z holenderskich kafli, ręcznie malowanych – scenom przedstawionym na nich mogłam przyglądać się godzinami. Drugi, w kształcie walca, z ozdobnych, zabytkowych płytek, z których każda była arcydziełem. Obydwa piece były ogrzewane elektrycznymi grzałkami i była to ich wielka wada. Dlatego najbardziej fascynował mnie najmniejszy, niczym nie wyróżniający się pie-



cyk. W zimne dni gosposia babci przynosiła z piwnicy wiaderko z węglem i rozpalala na ruszcie ogień. A mały pokój, w którym ten piecyk stał, nagle ożywał, cienie przedmiotów tańczyły po podłodze, płomienie podskakiwały i strzelały, a po pomieszczeniu rozchodziło się przyjemne ciepło.

Mieszkanie dziadków pełne było półek, półeczek, etażerek, szafeczek i stoliczków, zapelnionych niezwykleymi bibelotami. Szczególnie frapujący był prawdziwy Arab na wielbłądzie. Odbyłam razem z nim wiele niezapomnianych podróży po Afryce. Odkryłam urodę pełnego gwiazd afrykańskiego nieba, kiedy wędrowaliśmy nocą przez pustynię, oraz żar słońca, przed którym w dzień kryliśmy się w cieniu załomów skalnych. Dzieliliśmy się ostatnim daktylem i ostatnim łykiem wody. Dowiedziałam się, jakim szczęściem jest znalezienie oazy oraz że fatamorgana jest zjawiskiem ciekawym, gdy się o nim czyta, siedząc wygodnie w fotelu, ale oglądana na pustyni wcale nikogo tak bardzo nie cieszy.

Obok Araba mieszkał słoń indyjski. Na jego grzbiecie wędrowałam przez tropikalny las. Razem znajdowaliśmy zapomniane przez wszystkich świątynie, w których mieszkały groźne bóstwa, od wieków pozbawione swoich wyznawców. Razem uciekaliśmy przed kłusownikami, a w niedostępnym gąszczu oglądaliśmy cud narodzin małych tygrysiątek.

Na innej półce tańczyła porcelanowa baletnica. Jej koronkowe halki wdzięcznie unosiły się w piruecie. Z daleka wyglądały na miękkie i delikatne, przy dotknięciu stawały się twarde i kłujące. Dziewczynka wyglądała jak wyjęta prosto z andersenowskiej bajki. Ona nie chciała ze mną rozmawiać. Widocznie czekała na swojego ołowianego żołnierzyka i nie mogła rozpraszać swojej uwagi. Żałowałam wówczas, że nie jestem chłopcem. Miałabym wówczas całą armię żołnierzy i mogłabym jej któregoś ofiarować – sprawnego, z obydwoma nogami.

Z okazji naszego przyjazdu babcia kupowała żywego kurczaka, którego trzymała w drewnianej klatce i karmiła gotowanym na mleku ryżem i rodzynekami, aby mięso nabrało szlachetnego smaku. Chodziłam odwiedzać kolorowego ptaka. Na całe szczęście, później nie kojarzyłam podanej na obiad potrawy z nieszczęsnikiem z klatki.

Zakład dziadka wśród wielu ludzi budził grozę. Konstruowano tam meble, które służyły człowiekowi w jego ostatnim miejscu zamieszkania, czyli jednym słowem – trumny. W pomieszczeniach pracowni pachniało świeżym drewnem, lakierami i klejem. Pełno było worków z tajemniczą zawartością: brokatem, srebrzystymi śrubkami, rzeźbionymi uchwyty i papierowymi ozdobami. Potrafiłam godzinami siedzieć i podziwiać, jak ze zwykłych desek powstawały lśniące skrzynki o niezwykłych kształtach. Spod dłuta rzeźbiarza na wiekach wykwitwały różnorodne lilie i paprocie. Tworzył je, bezbłędnie prowadząc ostrze narzędzia po powierzchni deski; na podłogę spadały drobne wióry, a on nucąc coś pod nosem, postukiwał rytmicznie w drewniany trzonek. Umiał kilkoma pociągnięciami ołówka wyczarować jakieś zwierzątko, a później wprawiał w ruch wyjąca piłę mechaniczną i precyzyjnie wycinał dla mnie drewniane świnki, koguciki, koniki i kotki. O świcie budził mnie u dziadków śpiew jego maszyny oraz stuk młotka wbijającego gwoździe w deskę, i jeszcze dzisiaj przechodzi przeze mnie miły dreszczyk, gdy słyszę podobne dźwięki.

Czasami w zakładzie pojawiał się stryjek mamy, czyli brat dziadka. Przemykał chyłkiem, przygarbiony, z rozbieganymi oczyma. Wydawało mi się, że nie pełnił tam żadnej istotnej funkcji. Podczas uroczystych posiłków, organizowanych dla pracowników z okazji różnych świąt, zaczynał snuć wspomnienia z czasów wileńskich. Stawałam się wówczas niewidoczna, ponieważ niektóre opowieści nie były przeznaczone dla dziecięcych uszu. W pewnym okresie swojego życia stryj pracował w kostnicy. W związku z tym, że był mizernego wzrostu i nieboszczycy wielokrotnie byli dla niego za ciężcy, przenosząc ich z miejsca na miejsce, ciągnął ich po podłodze, trzymając za nogi. Po drodze musiał zejść po dwóch schodkach i głowy taszczonych przez niego nieszczęśników, uderzając o stopnie, robiły: plam, plam, plam. Później, niejednokrotnie w nocy budziłam się przerażona, mając w uszach to „plam, plam, plam”.

Babcia w młodości była piękną kobietą. Czasami pozwalała mi oglądać swój album ze zdjęciami z tego okresu. Kilka pierwszych stron wypełnionych było fotografiami przystojnych, ubranych w oficerskie mundury mężczyzn, którzy starali się o jej rękę.

Widocznie wówczas był taki zwyczaj, że fatygant dawał swoją podobiznę dziewczynie, aby o nim nie zapomniała. Babcia przeglądała album z nostalgią. Większość tych przystojnych mężczyzn zginęła w czasie działań wojennych lub w jakichś dziwnych, podejrzanych okolicznościach gdzieś na wschodzie, o czym babcia nie chciała mówić. Były tam też zdjęcia dziadka, który wyglądał jak bohater z zupełnie innej bajki: silny, postawny mężczyzna z gładko wygoloną czaszką. Wiele lat później kobiety traciły zmysły na widok podobnie wyglądających gwiazdorów filmowych. Nic dziwnego, że nobliwa panienka z mieszczańskiego domu nie potrafiła się oprzeć jego urokowi.

Na Śląsku przebywaliśmy kilka dni – zadymione powietrze, pełne wyziewów hutniczych i kopalnianych, nie było najbardziej pożądane dla zmęczonych pracą rodziców i małego dziecka. Ruszaliśmy dalej na południe, w Beskidy, gdzie w podgórskiej wiosce mieszkali rodzice mojego taty. Mieli kilkuhektarowe gospodarstwo, cztery krowy, stado kur, gęsi i indyków oraz mały sad. Mieszkali w drewnianym domu, wybudowanym pod koniec dziewiętnastego wieku. Były tam tylko dwa pokoje i duża kuchnia; murowaną łazienkę dobudowano do całości w późniejszych latach. W tym małym domu wychowało się siedmioro dzieci. I to pięknie wychowało: czworo z nich z wyróżnieniem skończyło wyższe studia. Pozostała dwójka, pomimo braku wyższego wykształcenia, została cenionymi fachowcami. Najmłodszy brat taty, Mateusz, jeszcze się uczył i mieszkał razem z rodzicami. Zgodnie z tradycją, że w każdym porządnym domu powinna znaleźć się jedna czarna owca, w przyszłości jemu pozostało granie tej roli w naszej rodzinie. Jednak wówczas nikt o tym jeszcze nie wiedział, a dla mnie był on bardziej kolegą niż wujkiem.

Pomimo że nasz przyjazd również dla tych dziadków był świętem, to zupełnie innym niż dla śląskich dziadków. Przyjeżdżaliśmy w okresie żniw i każde zdrowe ręce były wtedy potrzebne. W tym czasie zjeżdżali się tam wszyscy członkowie rodziny. Większość z nich, na całe szczęście, mieszkała w najbliższej okolicy i na noc wracali do swoich domów. Energia wszystkich krewnych wykorzystywana była do jak najszybszego zebrania plonów.

Wypielegnowane ręce mojej mamy i moje małe rączki nie

nadawały się do tego celu. Również nasze stroje nie były dostosowane do wiejskiego życia. Mama w swoich bucikach na wysokim obcasie z niechęcią chodziła po wyboistych, nieraz pełnych błota drózkach. Moje sukienki z falbankami również wyglądały w tym otoczeniu dziwnie. Sama nie mogłam wychodzić na podwórko. Dzikimi awanturami mobilizowałam więc mamę do wycieczek na pola i obserwowania przebiegu zniw. Brała ze sobą składane krzeselko, znajdowała miejsce w cieniu i siedziała, pilnując mnie. A ja nie mogłam oddalać się dalej niż na kilka kroków, ponieważ wszędzie czyhały na mnie niebezpieczeństwa: ktoś mógł mnie zahaczyć kosą, mogłam wpaść pod traktor, w trawie czaiły się straszliwe jadowite węże, a za zakrętem drogi grasowali podli Cyganie porywający dzieci. Musiałyśmy obie wyglądać groteskowo i mama na pewno czuła się tam nie najlepiej, ale nie protestowała przed spędzaniem urlopu na wsi, poświęcając się dla ukochanego męża. Podejrzewam, że inni mężczyźni zazdrościli tacie takiej żony i traktowali ją jak barwnego, egzotycznego motyla, którego należy podziwiać i z którym nie wiadomo, co się robi. Babcia, będąc energiczną kobietą, pracującą ciężko przez całe życie, musiała niechętnym okiem spoglądać na takie „lenistwo” mojej mamy.

Patrzyłam na mężczyzn równo machających kosami. Pod ich opaloną skórą przeżyły się mięśnie o fantastycznej rzeźbie, jakiej mógłby im pozazdrościć każdy kulturysta. Za nimi szły kobiety, zbierając skoszone kłosa w grube snopki i obwiązując je w połowie wysokości powróżkami, które błyskawicznie plotły ze źdźbeł zboża. Próbowalam nauczyć się wiązać te zbożowe sznury, ale pomimo że z boku wyglądało to na prostą czynność, nie udawało mi się. Kłosa nie trzymały się razem, a ja miałam dotkliwie pokłute dłonie.

Wieczorem zasiadaliśmy do późnego obiadu. Nie wiem, jak babcia godziła tak olbrzymią ilość obowiązków: pracę w obejściu – wszędzie było czyściutko, ściółka u zwierzątek często wymieniana, wcale nie śmierdziała gnojem; gotowanie na węglowej kuchni, co dla mnie było niezwykłą umiejętnością; cotygodniowy wypiek chleba o niepowtarzalnym smaku; czyszczenie zagonów z chwastów. Czasami podziwiałam ją, wytrwale ubijającą

śmietaną na masło w drewnianej maselnicy. Pożywienie podawała niewymyślne, ale pyszne, może dlatego, że wszystko pochodziło z własnej hodowli. A tak dobrych pierogów i klusek na parze nikt nie potrafił zrobić. Przy stole panowała świąteczna atmosfera. Wszyscy byli zmęczeni, ale zadowoleni: prace przebiegały bez komplikacji, rodzina miała okazję posiedzieć razem i porozmawiać. Te chwile były niezapomniane i niezwykle.

Dla mnie górski dom dziadków stanowił miejsce czarowne i najpiękniejsze na świecie.

Czasami udawało mi się zmylić czujność mamy i wyrwać spod jej kurateli. Biegłam wówczas do obory podziwiać małe prosiaczki. Babcia do tej pory ze zgrozą wspomina, jak wyciągała moje ręce z pyska olbrzymiej, dzikiej maciory. Często chowałam się do psiej budy, a Murzyn, wielki wiejski kundel, który chętnie rozszarpałby na strzępy każdego obcego człowieka, z miłością mnie przygarniał i nie pozwalał nikomu się do nas zbliżyć. Wychodziłam stamtąd dopiero wówczas, gdy się znudziłam, i natychmiast wrzucana byłam do wanny, ale mama jeszcze długo tępiła załapanie przeze mnie psie pchły. Któregoś dnia wymknęłam się do kurnika celem obejrzenia, w jaki sposób kury produkują jaja. Po dziesięciu minutach wróciłam cała oblepiona kurzymi meszkami. Prawdopodobnie spodobał im się zapach perfum, którymi mama mnie skropiła. Dziwię się, że moja rodzicielka nie zemdlała na mój widok. Rodzinie udało się oczyścić mnie z muszek, ale później byłam już tak pilnowana, że nigdzie więcej nie udało mi się samej uciec.

W moim piątym roku życia świat wokół mnie zaczął się gwałtownie zmieniać, wciągając mnie w wir zdarzeń, z których większość była dla mnie niezwykle traumatyczna. Tuż po Nowym Roku zaczęłam uczęszczać do przedszkola. Mama, aby zadowolić swoje ambicje – byłam według niej ponadprzeciętnie inteligentna i nad wiek rozwinięta – zapisała mnie do najstarszej grupy. Nie mając wcześniej zbyt wiele kontaktów z rówieśnikami, znalazłam się w zupełnie obcym środowisku. Grupa była skonsolidowana dzięki wspólnemu chodzeniu do przedszkola oraz mieszkaniu na jednym osiedlu i jako ta „nowa” zostałam przyjęta z niechę-

cią. Nie pasowałam do tego światka. Przez moje kokardki, koczki i fartuszek z falbankami przypięto mi łątkę dziwadła. I nikt mnie nie traktował jak księżniczki! A to, że rodzice odwozili mnie do przedszkola samochodem i że mieszałam w domku jednorodzinny, a nie w bloku, wzbudzało zawiść. Nie umiałam wykręcać koziołków na trzepaku, produkować „dziewczyńskich sekretów” ani skakać w gumę. Jako towarzysza zabaw byłam do niczego.

Równocześnie ze mną przyjęto do grupy jeszcze jedną dziewczynkę. Codziennie rano żegnała rodziców rozpaczliwym płaczem. Przyglądałam jej się z zaciekawieniem i w końcu uznałam, że tak trzeba, i po tygodniu chodzenia do przedszkola również żegnałam tatę przerażającym łkaniem, które kończyłam, gdy wychodził za próg.

Na krótko udało mi się znaleźć narzeczonego, Piotrusia, który obiecał, że będzie się mną opiekować i stawać w mojej obronie w razie zagrożenia. Nawet pokazał mi, w jaki sposób: w momencie napaści odepchnie mnie za siebie, a później stłucze napastnika na kwaśne jabłko. Cóż, po trzech dniach zostawił mnie dla zezowatej Kaśki.

Duży szacunek wśród dzieci budziła zadziorna Jola. W trakcie posiłków siedziałam z nią przy stoliku, a ona z zadowoloną miną mówiła:

– Zobaczysz. W nocy przyjdziemy pod wasz dom całą bandą i wszystkich wymordujemy. Zabierzemy sobie wasz samochód i pojedziemy na wycieczkę, a dom spalimy. Po co nam taka rundera?

– Nie róbcie tego! – szeptałam, łykając lzy. – Bardzo was proszę.

A cała grupka, siedząca przy stole, na widok mojej przerażonej miny radośnie rechotała.

W trakcie leżakowania jak zwykle nie mogłam zasnąć i wymyślałam coraz to nowe sposoby zemsty na wrednych bachorach.

Wczesną wiosną okazało się, że duża część naszego ogrodu rośnie na ziemi, którą tylko dzierżawiliśmy, a właściciel postanowił na niej wybudować osiedle bloków. Do naszego cudownego rajku wjechały spychacze i buldożery. Mój ukochany włoski orzech został zmieciony ze świata w pierwszej kolejności. Zniszczono dział-

ki z pachnącymi liliami, stare jabłonki i malinowy chruśniak. To, co nam pozostało, było mizerną imitacją ogrodu. Ostały się tylko róże mamy, grusza i orzech laskowy, ale wiewiórki wyprowadziły się.

Z rozpaczą patrzyłam na rosnące w górę szare mury. Robotnicy zostawili sobie jedną naszą jabłonkę i ze złością obserwowałam, jak zrywali z niej jabłka i jedli je, jakby były ich własnością.

Pomimo że nie należałam do chorowitych dzieci, przeżywane przeze mnie problemy tak mnie przygniotły, że rozchorowałam się na odrę. Leżałam obolała w zaciemnionym pokoju – nie mogłam patrzeć na światło słoneczne. Przelknięcie kawałeczka jedzenia było dla mnie katorgą. Chciałam umrzeć.

W tym czasie tata wyjechał na stypendium do Szwecji. Kiedy zaczęłam okres rekonwalescencji, w naszym domu pojawił się Niezwykły Gość. Była to nietypowa sytuacja, rodzice spotykali się z kilkoma zaprzyjaźnionymi małżeństwami, ale oprócz śląskich dziadków, nikt do nas nie przyjeżdżał spoza Gdańska. Gość był śniadym, wysokim, muskularnym mężczyzną z gładko przyczesanymi, czarnymi włosami. Ciemne oczy skrywał za przydymionymi okularami w rogowych oprawkach, a pośrodku jego twarzy sterczał duży, trochę orli nos. Jego biała, wpuszczona w spodnie koszula, z tyłu, tuż nad paskiem, wydymała się jak balon. Nigdy nie widziałam, aby czyjaś garderoba tak się zachowywała, i byłam przekonana, że to jest jakiś zagraniczny rodzaj ubrania, modny i niedostępny dla naszych biednych, polskich panów.

Na mój widok z entuzjazmem wykrzyknął:

– Jakie piękne dziecko!

Wzbudził tym okrzykiem przychyłność mojej mamy i moją. Rzeczywiście mogłam się podobać: miałam blond włosy wysoko upięte do góry, błękitne oczy, wyglądające na wymizerowanej po chorobie twarzyczce na większe, niż były w rzeczywistości, i bladą, prawie przeźroczystą cerę.

Gość siedział przy stole i opowiadał jakieś anegdotki, a mama i niania radośnie go obsługiwały, co rusz podając na stół nowe potrawy, słuchając go z nabożnym skupieniem. Pierwszy raz czułam w naszym domu taką atmosferę podniecenia i sensacji. Najbardziej zdumiewało mnie to, że Gość kopał śmierzące papierosy.

W domu, w którym nikt nigdy nie palił! Dym gryzł mnie w oczy i drapał w gardle. Patrzyłam ze zdumieniem na mamę, ale ona wcale na ten fakt nie zwracała uwagi.

Gość pomieszkał u nas kilka dni i zniknął tak samo tajemniczo, jak się pojawił. Mama posmutniała.

Zaczęły się gorące letnie dni. Otaczano mnie troskliwą i nieco przesadną opieką, abym po chorobie szybko wróciła do zdrowia. Któregoś upalnego dnia niania, zastanawiając się, jak mnie ubrać, wyjrzała przez okno, a następnie wyciągnęła wełniane rajstopy i spodnie, mówiąc:

– Taki mały chłopczyk biegł po ulicy i był w długich spodniach. Jest zimno i muszę cię ciepło ubrać.

Siedziałam więc w dusznym domu, ubrana, jakbym miała zaraz wyjść na zimowy spacer, i opływałam potem. Dziwne, że od tego nadmiaru troski znowu się nie rozchorowałam.

Czasami jeździłyśmy z nianią na plażę. Niestety, jako rekonwalescentka, mogłam w tym czasie tylko siedzieć w cieniu i z zawiścią patrzeć na inne dzieci, beztrzesko chlapiące się w morzu.

Pomimo że tata wrócił ze stypendium, mama dalej była smutna i taka jakby nieobecna duchem. Życie toczyło się tak, jak dawniej, ale instynktownie wyczuwałam, że coś złego wisi w powietrzu.

Tata z okazji przyjazdu kupił mi rowerek Bobo. Mogłam na nim jeździć dookoła domu, obserwując, jak ojciec na pozostawionym nam skrawku ziemi usiłuje zrobić coś, co chociaż trochę przypominałoby nasz stary ogród. Do roweru przyłączone miały boczne kółka, ale po pewnym czasie uznałam, że poradzę sobie bez nich, i poprosiłam tatę, żeby je odkręcił. I wówczas pokazałam swój prawdziwy charakter: rower się przewrócił, a ja ze wściekłością zrobiłam wszystkim awanturę, kopiąc pojazd, który niczemu nie był winien. Kółka na czas mojego dojrzewania przykręcono ponownie.

Którejś nocy obudził mnie nietypowy hałas. Trochę nieprzytomna usłyszałam krzyk taty i płacz mamy. I też zaczęłam płakać:

– Mamo, chodź do mnie! Mamo!!!